

BŁĄD
KOMISARZA

PALMU

*Mika
Waltari*



*Mika
Waltari*

BŁĄD
KOMISARZA
PALMU

Tytuł: *Komisarz Palmu. Tom 2. Błąd komisarza Palmu*

Autor: Mika Waltari

Wydawnictwo: Nemezis

Tytuł oryginału: *Komisario Palmun erehdys*

Copyright © The Estate of Mika Waltari

First published in Finnish with the original title *Komisario Palmun erehdys* in 1940 by Werner Söderström Ltd (WSOY), Helsinki, Finland.

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights Finland and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland.

Copyright for this edition © 2025 by Wydawnictwo Nemezis

© Copyright for the Polish translation by Sebastian Musielak

Przekład: Sebastian Musielak

Projekt okładki i ilustracje na okładce: Klaudia Faber

Zdjęcie autora: Pietinen, kuvaaja 1934. Finnish Heritage Agency

Opieka redakcyjna: Waldemar Popek

Redakcja: Weronika Kosińska

Korekta: Barbara Górską, Aneta Tkaczyk, Małgorzata Wójcik, Agnieszka Kiersnowska

Layout: Anastazja Tabor

Skład i przygotowanie do druku: Marcin Matlak

Wydanie I

ISBN: 978-83-8394-985-7

[Kup książkę](#)

ISBN e-book: 978-83-8394-986-4
ISBN abonament: 978-83-8394-987-1



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczuk

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

1.



**Jesienny poniedziałkowy poranek na komendzie policji
i przemyslenia komisarza Palmu o morderstwie jako
temacie literackim. • Porucznik Hagert i skutki Dni
Skandynawskiej Policji. • Palmu odwołuje się
do fińskiego sądownictwa i daje mi wykład z ekonomii. •
Na scenę wkracza Batler.**

Był jesienny poniedziałkowy poranek w tamtych czasach, kiedy jeszcze nie wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż teraz.

Był jesienny poniedziałkowy poranek. I powtarzam to z pełną świadomością.

Albowiem ze wszystkich przeklętych dni na komendzie poniedziałek jest dniem najgorszym. A jesienna szaruga na Rynku przywodzi na myśl dudniące korytarze więzienia, najtańsze szare mydło i smród pasiastych chałatów.

Komisarz Palmu miał jeszcze gorszy nastrój niż zazwyczaj w poniedziałkowy poranek. Przez zmrużone powieki patrzył gdzieś w dal nieobecny wzrokiem, kreśląc ołówkiem krzyżyki i jakieś gęby na marginesie protokołu przesłuchania, który zostawiłem mu na biurku, aby mnie zmusić do przepisania go na czysto z powodu dwóch nieistotnych błędów. Dobrze wiedział, że tak zabazgranego raportu nie odważy się zanieść Hagertowi.

— Morderstwo... — odezwał się zamyślony. — Ze wszystkich zbrodni morderstwo jest czynem najbardziej skończonym i rozstrzygającym, gdyż nie sposób go już nigdy niczym odkupić.

Poprawił się na krześle, obrzucił krytycznym wzrokiem swoje artystyczne dokonania na marginesie protokołu, po czym znów spojrzał za okno, na jesienną szarugę Rynku.

— Skradziony przedmiot można zwrócić — podjął tym swoim zręczliwym, poniedziałkowym tonem — fałszerstwo można wynagrodzić, ślady pobicia znikną, nawet zdrada może pójść w niepamięć... Wszystko, wszystko z czasem idzie w zapomnienie, bo ludzka pamięć jest niewypowiedzianie krótka. Lecz zabitemu człowiekowi już nikt nigdy życia nie przywróci.

— Pff — sapnąłem mimo woli, bo aż kipiałem z tajonej wściekłości, patrząc na czubek jego ołówka, który znów zaczął bezlitośnie kreślić siatkę na brzegu kartki.

— I dlatego — podjął po chwili Palmu, odkładając ołówek i opuszczając swoją ciężką dłoń na zbeczczony protokół — dlatego właśnie morderstwo jest jedynym tematem godnym powieści detektywistycznej. I dlatego oddasz panu Venho akta sprawy tego fałszerza, jeżeli nadal chcesz tu pracować jako *mój* podwładny. A potem przepiszesz na czysto ten raport! — Jego gruba dłoń znów spoczęła pieszczotliwie na pokreślonym protokole i komisarz dodał z dobroduszną ironią: — Będiesz mógł się wykazać swoim literackim talentem.

— Pięknie — powiedziałem. — Nie ma co!

I po raz kolejny zapalałem do niego zapiekłą, czarną nienawiścią, bo w głębi ducha wiedziałem, że Palmu ma znowu rację. Przygnębiony, otworzyłem swoją szufladę i zacząłem zbierać materiały komisarza Venho, aby mu je odnieść. Serce mi się krajało.

Sprawy miały się tak, że gdy razem z Palmu rozwiązaliśmy zagadkę morderstwa pani Skrof, opisałem to w literackiej formie. Moja powieść detektywistyczna zyskała zaskakującą popularność, choć przecież i ja uważałem, że to całkiem niezła literatura. Teraz oczywiście pałałem chęcią kontynuowania twórczości, bo dzięki swojej książce poznałem wielu prawdziwych pisarzy i ich życzliwe uwagi pobudziły moją ambicję. Brakowało mi jednak odpowiedniego tematu. Miesiące mijały, a ja wciąż nie miałem nic nowego, więc komisarz Venho namówił mnie w końcu, abym opisał pewną frapującą i skomplikowaną sprawę fałszywego bankructwa, którą *on* rozwiązał. To zaś oczywiście zupełnie nie pasowało komisarzowi Palmu, gdyż między oboma panami zawsze nieco iskrzyło.

I mimo że drugi mąż mojej ciotki był sekretarzem ministra, Palmu na pewno potrafiłby obrzydzić mi życie w helsińskiej komendzie miejskiej, gdybym tylko śmiał sprzeciwić się jego woli. Dlatego uznałem, że najlepiej zebrać materiały komisarza Venho, odnieść mu je i dalej siedzieć bezczynnie i czekać na temat, który może się pojawić dopiero za dziesięć lat.

— Otóż to — rzekł Palmu, wodząc za mną przymrużonymi oczami niemal ze współczuciem. — Niejeden przed tobą zaprzepaścił wszystko, bo się zbyt spieszył. Jesteś jeszcze młody, ale w moim wieku będziesz już umiał czekać, siedzieć i czekać bez końca.

I na krótką chwilę Palmu pokazał swoją ludzką, serdeczną twarz, co trochę mi wynagrodziło wycierpiane z jego powodu krzywdy:

— Pewnie, że to nic przyjemnego! Myślisz może, że to wieczne czekanie sprawia mi przyjemność? Wielkie sprawy dojrzewają powoli i młody policjant wydziału kryminalnego popełnia tyle gaf i błędów, bo trwa jeszcze w przekonaniu, że ciągle musi być w ruchu, ciągle musi coś *robić*. I tu właśnie popełnia kardynalny błąd, nasza praca bowiem nie

polega na tym, aby coś *robić* — o to troszczą się zbrodniarze. Naszym zadaniem jest tylko *wyjaśnić*, i jest to z natury zadanie całkowicie bierne, gdyż zaplanowanej zbrodni nie można zapobiec.

Palmu przemawiał życzliwie i moje skute lodem serce zaczęło już nieco tajać, gdy znowu wszystko zepsuł tym swoim dobitnym, belferskim tonem:

— Wyjaśnianie nie ma w sobie nic romantycznego. To czysty, rzeczowy realizm. Ty lubisz się rozwodzić o teoriach zbrodni, psychologiach, intuicjach i diabeł jeden wie o czym tam jeszcze. Ja natomiast jestem prostym, starym policjantem i raz za razem wbijam ci do łba, że rzeczowe wyjaśnianie zbrodni nie ma, bo i mieć *nie może*, nic wspólnego z wyobraźnią, psychologią czy intuicją. Masz jedynie zgromadzić bezdyskusyjne fakty, właściwie je ze sobą połączyć, a potem wyciągnąć oczywiste wnioski. I to wszystko! Cała reszta będzie ci tylko gmatwać, przeszkadzać i zwodzić cię na manowce.

Mówił to już chyba ze sto razy, więc i teraz zacząłem się w duszy buntować na te słowa, wkrótce jednak Palmu ponownie wykazał ponadczasową prawdziwość swoich rozważań. Stanowiły one bowiem swoisty wstęp do późniejszych wydarzeń i dlatego uznałem, że warto je przytoczyć. Szkoda tylko, że nie zakarbowiałem ich sobie w pamięci, bo może nie zbłądziłbym się znów tak bardzo w ciągu dwóch następnych dni. Wyobraźnia jednak ponownie wywiodła mnie na manowce.

Czytelnik jest zatem w lepszym położeniu. Kiedy bowiem pod koniec mojej opowieści zastanowi się głębiej nad przebiegiem zdarzeń, finał tej historii wcale go nie zaskoczy — jeżeli tylko przyswoił sobie pierwszą i najważniejszą zasadę komisarza Palmu: zgromadzić fakty, właściwie je ze sobą połączyć, a potem wyciągnąć oczywiste wnioski.

A ja co? A ja dostałem kulą w bark, o mały włos nie zginąłem pod upadającym Kokkim, no i w ogóle zachowywałem się jak ostatni bałwan.

* * *

Tak, było coś proroczego w tym zwięzłym wyznaniu wiary i metody komisarza Palmu, kiedy bowiem zebrałem już wszystkie materiały komisarza Venho i wychodziłem z pokoju, aby mu je odnieść, do środka wkroczył porucznik Hagert i od razu zaklął:

— Diabli, cholera, diabli nadali!

Z twarzy porucznika można było bez trudu wyczytać, że jest poniedziałkowy poranek, czyli że wczoraj była niedziela i porucznik do późna bawił się z duńskimi gośćmi na Dniach Skandynawskiej Policji.

— Palmu, znasz Brunona Rygsecka? — bardziej stwierdził, niż zapytał.

Komisarz nic nie odpowiedział, uniósł tylko głowę i nadstawił ucha.

— No właśnie — skwitował Hagert, po czym machnął ręką i zrobił taką minę, jakby połknął piołun. — To on przyprawił sobie kiedyś po pijaku krowie rogi do kapelusza i kierował ruchem w samym centrum miasta. Miał też raz sprawę, bo potracił autem i okulił jakąś starowinę.

Palmu nadal nic nie mówił, a mnie już język świerzbiał, żeby o coś zapytać. Hagert jednak sam uznał, że już wystarczająco pobudził jego ciekawość.

— No dobra — rzekł i znów machnął ręką. — Brunona już nie ma. Spotkał go, że tak powiem, zasłużony koniec. Dziś rano Rygseck poślizgnął się, wyrzucił głowę o dno i utonął — we własnej łazience!

Hagert teatralnie zawiesił głos i spojrzał pytająco na Palmu.

— *Sic transit gloria mundi!* — wyrzekł komisarz, który lubił się trochę popisywać samodzielnie poszerzoną edukacją.

— Że jak? — Hagert nabrał podejrzeń i spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem.

— To po łacinie — powiedziałem cicho.

— Esz — zachnął się Hagert i potarł skronie. — I bez tego głowa mi pęka. Ci Duńczycy... — Na twarzy porucznika zapełgał nikły uśmiech. — Ci Duńczycy... — powtórzył, ale zaraz zmiarkował, że zbacza z tematu, i szybko odzyskał urzędową powagę. Palmu nadal patrzył na niego wyczekująco.

— Czyli sprawa nie jest jakąś wielką zagadką — rzekł Hagert. — Można z niej co najwyżej wyciągnąć pewien morał. Groteskowy koniec groteskowego żywota. Sami pomyślcie, facet się poślizgnął na własnym mydle, skręcił sobie kark i utopił się we własnej wannie. Musieli wyważyć drzwi, żeby go wyciągnąć. Ale wiadomo, trzeba przesłuchać osoby przebywające w jego domu, a tak się składa, że tylko ty jesteś teraz wolny. No, ale takie drobne wypadki to twoja specjalność, co, Palmu? Ha, ha! — Hagert się zaśmiał, jak gdyby sobie przypomniawszy coś bardzo zabawnego. — Jak choćby ta sprawa z panią Skrof!

Znów zaniósł się śmiechem, ale jego wesołość jakoś się nam z komisarzem nie udzieliła. Za nic nie mogę pojąć, dlaczego Hagert ciągle sobie drwi z mojej powieści. Przecież chwalili ją nawet krytycy.

Palmu podniósł się sztywno i bez słowa zdjął kapelusz z wieszaka. Hagert zauważył jego minę, dodał więc pośpiesznie:

— Tylko na Boga, Palmu, nie urządzaj tam od razu wielkiego dochodzenia! Akurat *ta* sprawa jest najzupełniej jasna. Tak mniej więcej zawsze sobie wyobrażałem koniec tego człowieka. Poza tym trzeba wziąć poprawkę na prezesa Rygsecka. Postaraj się załatwić wszystko możliwie najdelikatniej, Palmu. Nie dręcz rodziny i tak dalej. Ufam w twój takt.

Stary Rygseck jest nazbyt ważną figurą, nie możemy mu się naprzykrzać bez wyraźnej potrzeby.

— Możemy wziąć auto, panie poruczniku? — spytał Palmu z niewzruszonym spokojem. — Dom jest na Kaivopuisto¹.

Hagertowi nie spodobała się mina komisarza.

— A bierz! — odrzekł zgryźliwie. — Weź od razu Kokkiego, niech zdejmie odciski palców! Weź karetkę więzienną! A może chcesz radio, będziesz miał stałą łączność ze sztabem? Albo ten nowy wóz pancerny, gdyby się was ktoś po drodze czepiał? Ha, ha!

Palmu już wyszedł, ruszyłem za nim. Hagert trochę się przestraszył, wytknął więc jeszcze głowę przez drzwi i zawołał:

— Pamiętaj, Palmu, tylko bez wygłupów! Stary Rygseck...

Więcej nie dosłyszałem, tak zwinnie Palmu pokonał schody. Wypadałoby może wysłuchać Hagerta do końca, gdyż jego rewerencja dla prezesa koncernu Rykämö kosztowała życie człowieka... Lecz nie będę uprzedzał biegu wydarzeń.

Kiedy Kokki uruchomił auto i zasapany Palmu wreszcie usadowił się wygodnie, odważyłem się powiedzieć cicho, lecz z naciskiem:

— Panie komisarzu, to morderstwo! Człowiek *nie może* utopić się we własnej wannie!

Palmu obrzucił mnie nieodgadnionym spojrzeniem.

— Wyobraźnia... — sapnął tylko. — Wyobraźnia!... Sądownictwo fińskie zna przypadek mężczyzny, który utopił się w *misce*. I to również był nieszczęśliwy wypadek.

— To prawda — przyznałem — lecz wzmiankowany mężczyzna był pijany w sztok i kiedy upadł, nie był w stanie kiwnąć nawet małym palcem. A my tu mamy poniedziałkowy poranek.

— Ludzie powiadają — odrzekł spokojnie Palmu — że po osiągnięciu wieku męskiego Bruno Rygseck nigdy nie miał kaca, bo nigdy nie trzeźwiał... Tak... — Widząc, że zamierzam mu przerwać, dopowiedział głośniejszym głosem: — Nie wolno wierzyć wszystkiemu, co ludzie gadają, i była to oczywiście gruba przesada, lecz nawet w pogłoskach *zawsze* można znaleźć ziarenko prawdy. I tak jak powiedział Hagert, nietrudno było sobie wyobrazić, że Bruno skończy w podobny sposób. Był to w pewnym sensie najbardziej *naturalny* koniec, jaki można mu było w myślach przypisać. Taka kropka nad i.

— Kim wobec tego jest, czy raczej był ów Bruno Rygseck? — spytałem.

Palmu uniósł nieco brwi, zdumiony moją niewiedzą. Jego mózg był bowiem jak gigantyczne archiwum i komisarz bezbłędnie wyszukiwał w nim właściwą szufladkę, z której wyciągał kartotekę każdej osoby choć trochę znanej w stolicy. Ja nie doszedłem do tego etapu. *Jeszcze nie.*

— Bruno Rygseck — zaczął Palmu, ważąc słowa — był bezsprzecznie najgorszym zgniłkiem w całej tej zbieraninie, którą nazywamy helsińską arystokracją finansową. Jego zwyczaje były poniżej wszelkiej krytyki. Już dawno temu powinni go byli zamknąć w jakimś zakładzie. No, ale co zrobić, kiedy pan Bruno Rygseck był akcjonariuszem koncernu Rykämö.

Komisarz zamilkł i zapatrzył się gdzieś w dal, zupełnie jakby mi już wszystko wyjaśnił. Zagadnałem go więc ostrożnie:

— Rykämö? Co to za koncern?

Palmu uśmiechnął się słabo i pokręcił głową.

— Lubisz się popisywać tym swoim wyższym wykształceniem i nie przepuszczasz żadnej okazji, aby mnie ośmieszyć, gdy nie potrafię poprawnie wypowiedzieć jakiegoś mądrego słowa. Kiedyś może i ty zostaniesz porucznikiem policji albo jeszcze lepiej, a wtedy będziesz

wchodzić do mojego pokoju jak do siebie i bluzgać jak furman. A jednak nie masz bladego pojęcia o sprawach, które się naprawdę liczą. Koncern Rykämö... — Palmu był już zły. — Toż to życie gospodarcze tego kraju, toż to jedna z tych sił, od których zależy jego rozwój, do diabła ciężkiego, przecież to powinien wiedzieć każdy wykształcony człowiek!

Kokki zerknął przez ramię i uśmiechnął się. Uszy zaczynały mnie piec. Palmu spojrzał na mnie z politowaniem.

— Dam ci teraz mały wykład z ekonomii — zapowiedział, splótł dłonie na piersiach i w zamyśleniu uniósł wzrok. — To pozwoli ci lepiej docenić scenę, na którą zupełnie nieoczekiwanie zaraz na chwilę wstąpisz. Mówię: na chwilę, gdyż najprawdopodobniej równie szybko cię z niej wykopią. Zaludnia ją bowiem towarzystwo nader ekslu... esku...

— Ekskluzywne — pospieszyłem instynktownie z pomocą.

— Właśnie tak — potwierdził Palmu, kiwając głową. — A zatem: początek koncernu Rykämö sięga dziada owego Brunona, czyli nestora Rygsecka. Nie ulega kwestii, że i w świecie finansów zdarzają się tacy sami geniusze jak w innych dziedzinach życia. Poza sprzyjającymi okolicznościami, czyli właściwym czasem, warunkiem sukcesu — a mówię tu o sukcesie naprawdę wielkim — istnieje również nienaturalna miara pewnych szczególnych cech osobowości, a są to zarówno zalety, jak i wady. Geniusz bowiem nigdy nie jest zjawiskiem czysto pozytywnym. Nestor Rygseck był właśnie takim finansowym geniuszem końca ubiegłego wieku. Karierę rozpoczynał jako domokrażca.

— Czy nie należałoby pisać jego nazwiska: Ryggsäck²? — wtrąciłem.

Palmu potaknął łaskawie głową.

— Właśnie tak, po zbiciu pierwszej fortuny nestor oczywiście zeszwedczył swoje nazwisko, jak to wówczas było w modzie. Może ktoś doradził złośliwie byłemu domokrażcy nazwisko Ryggsäck. Ale ortografia

u nestora kulała zawsze i tak też zostało do samego końca. Najpierw zapisywał swoje nazwisko fonetycznie, Ryksek, i dopiero potem nieco je uszlachetnił, lecz bodaj nigdy nie potrafił go zapisać w takiej postaci, w jakiej utrwaliła się pośród jego potomków. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo dla banków jego nazwisko oznaczało miliony, i to w czasach starego pieniądza, bez względu na to, czy nestor podpisywał się Rygsek, Rykseck, Ryggseck czy jeszcze inaczej — ważne, że osobiście coś tam nabazgrał. Zakładał hurtownie, tartaki, folwarki, odlewnie, co tylko się dało. I nigdy się nie wstydził swojego pochodzenia, wręcz odwrotnie, szczycił się nim. Podobno w testamencie znalazł się osobliwy wymóg, że po wsze czasy ku wiekuistej pamięci na ścianie w gabinecie prezesa koncernu Rykämö ma wisieć jego pierwszy handlarski sak, jeszcze z kory brzozonej. No, ale na stare lata nestor w ogóle zdziwaczał i kiedy zaczął rozdawać pieniądze i robić całą masę innych głupstw, sprawy wziął w swoje ręce jego najstarszy syn, czyli obecny prezes Rygseck, i założył koncern. Nestor ostatnie dwa lata życia spędził już zupełnie w cieniu. Mówią, że trzeba go było siłą izolować od świata, choć może to być, rzecz jasna, jedynie pogłoska. Po śmierci nestora nazwie koncernu nadano fińskie brzmienie i niejako przy okazji bodajże dwóch członków rodziny stosownie zmieniło nazwisko. Obecnie, zgodnie z testamentem nestora, koncern jest spółką rodzinną i jej akcji nie wolno sprzedawać osobom spoza rodziny. Jest to w naszym kraju prawdziwa potęga gospodarcza. Koncern posiada kapitał akcyjny, kapitał rezerwowy, fundusz podatkowy i Bóg wie co tam jeszcze. Potomkowie nestora pozostaną milionerami jeszcze w trzecim i czwartym pokoleniu, jeśli tylko będą mieć choć odrobinę oleju w głowie. Całość do dziś dźwiga na swoich barkach syn nestora, czyli prezes Rygseck, zaś pozostali członkowie rodziny dźwigają

swoje dywidendy. Każdy z nich jest w pewnym sensie mocno postrzelony, tak jak nasz Bruno, żeby daleko nie szukać.

— Przekleństwo pieniądza! — powiedziałem ze zrozumieniem.

— Dziedziczność — rzekł Palmu. — Geniusz i szaleństwo idą ramię w ramię, wiadoma rzecz. Nie brakuje jednak ludzi, którzy pamiętają jeszcze nestora i jego sposób załatwiania interesów, jego hardość i bezwzględność, które wcale nie są konieczne do osiągnięcia wielkiego sukcesu, i mówią, że na pieniądzach Rygsecków ciąży straszna klątwa. Bo i Bruno, który był posiadaczem ćwierci rodzinnego majątku, używał swoich pieniędzy, tak jak używać ich nie wolno. Był w tym chyba niedoścignionym mistrzem, podobnie jak jego dziad w trochę innej dziedzinie.

— Co tu dużo gadać, gość umiał się dobrze bawić do samego końca! — podsumował Kokki, parkując auto, a w jego głosie zabrzmiała nutka lekkiej zazdrości.

Zatrzymaliśmy się przy żeliwnej bramie w wysokim murze. Złocene, fantazyjnie pozawijane litery układały się w inicjały B.R. Mur był gęsto porośnięty pnączami, ale tu i ówdzie spod przebarwionych już przez jesień liści wystawał chroniący przed intruzami drut kolczasty.

Brama była otwarta. Pod dom prowadził szeroki asfaltowy podjazd. Po obu jego stronach ciągnęły się rabaty dalii, nieco już nadgryzionych przez przymrozki. Trawnik był wciąż soczyście zielony. Z boku stał garaż z szerokim wjazdem.

Prawie nowy, jednopiętrowy dom pokryto białym tynkiem. Był mniejszy, niż się spodziewałem, imponował jednak wyniosłym indywidualizmem, stał bowiem pośrodku obszernego ogrodu, a w tej części miasta każdy metr kwadratowy ziemi kosztował majątek.

Szlifowane szkło ogromnych okien rzucało dumne, bezosobowe refleksy. Szerokie kamienne schody wiodły ku lśniącym mahoniowym drzwiom.

Jestem człowiekiem wrażliwym. Ponury, szary poranek jesienny, samotny dom, tak porażająco cichy pośrodku wielkiego miasta, więdnące na rabatach kwiaty — wszystko to zbudziło we mnie złe przeczucie i po plecach przebiegł mi dreszcz. Zacząłem rozmyślać o pieniądzach, o rozkoszach i występkach, które do dziś oplatały to miejsce swoją aurą, zanim nagła śmierć jak nadziemska zemsta nie położyła wszystkiemu kresu.

Moje fantazje zmaćcił jednak pewien banał. W szczytowej części domu po prawej stronie dostrzegłem wejście dla służby oraz drzwi kuchenne. Obok schodów widniały żelazne drzwi do piwnicy, które teraz były otwarte. Przed nimi stała ciężarówka z koksem i umorusany mężczyzna wnosił właśnie worek do piwnicy. Drugi dopiero co wyszedł, otrzepując worek z węglowego pyłu. Widok ten całkiem zburzył podniosły nastrój moich wyobrażeń. Życie toczyło się dalej, choć dom nawiedziła śmierć.

Komisarz Palmu obrzucił jeszcze przelotnym spojrzeniem drut kolczasty okalający mur ogrodu, niskie okienka piwnicy w granitowej podmurówce i ich żelazne gięte kraty, wystające daleko poza obrys ściany.

— Ostrożnym człowiekiem był pan Bruno Rygseck! — zauważył i uśmiechnął się pod nosem. — Trafi się potknąć i ostrożnemu — rzekł sentencjonalnie i zdecydowanym krokiem wszedł na schody.

Z szacunku trzymałem się pół kroku za nim, a za nami człapał nieco ogłupiały Kokki, wyraźnie zażenowany, co przydarzało mu się zawsze, gdy się ocierał o wyższe sfery.

Stanęliśmy przed masywnymi mahoniowymi drzwiami, a wtedy i ja poczułem, że jestem za wysoki, bary mam po chłopsku za szerokie, a buty nieproporcjonalnie wielkie. Ale komisarz Palmu nie cierpiał na kompleks

niższości. Zdecydowanie wcisnął przycisk dzwonka i długo nie odpuszczał. Mój zegarek wskazywał wtedy dokładnie dziesiątą pięćdziesiąt pięć. Był poniedziałkowy ranek.

Drzwi otwarły się niemal natychmiast, jak gdyby śledzono nas przez okno. Do środka wpuścił nas sztywny mężczyzna o beznamietnej twarzy, ubrany w liberię ozdobioną lśniąącymi guzikami. Miał sztywny kołnierzyk i czarny krawat oraz irytująco przylizane blond włosy z precyzyjnym przedziałkiem pośrodku głowy. Mówił ze wzrokiem wbitym w ziemię. Krótko mówiąc, powierzchowność miał kryminalną i kojarzył mi się nieodparcie z liniejącym wężem.

— Służący! — wysapał mi do ucha przejęty Kokki. — Lokaj! W Helsinkach!

Jego pełen uwagi ton mówił więcej niż wszystkie jego słowa.

Ale Palmu widział już lokajów w Pałacu Prezydenckim, gdy pilnował płaszczy na przyjęciu z okazji Święta Niepodległości. Nie mieszał się więc ani trochę.

— Przyjechaliśmy z miejskiej komendy policji, aby przeprowadzić dochodzenie w sprawie nieszczęśliwego wypadku — odezwał się rzeczowo. — Czy zwłoki jeszcze tu są?

— Zwłoki? — powtórzył lokaj kwaśno, unosząc ze zgorszeniem brwi. — Właśnie przed chwilą ambulans zabrał pana Rygsecka do szpitala.

— A zatem nie zginął? — zdumiał się Palmu i siłą rzeczy w jego głosie brzęknęła nutka rozczarowania. Mnie też zrobiło się głupio.

— Pan inżynier Vaara i ja — odrzekł lokaj ze sztywną powagą — przystąpiliśmy do sztucznego oddychania natychmiast po wydostaniu mojego pana z basenu. Pan inżynier był przekonany, że dostrzega oznaki życia. Zatelefonowaliśmy od razu do osobistego lekarza pana Rygsecka

i za jego radą zawezwaliśmy ambulans. Jest nadzieja, że zdołają go ożywić aparatem tlenowym.

— Kto zatem wpadł na ten genialny pomysł, by zaalarmować policję?
— zapytał sarkastycznie Palmu.

Mina lokaja ani trochę nie zrzędła, mężczyzna nie zstąpił z duchowych wyżyn.

— Byliśmy wszyscy przerażeni, panie... hm... komisarzu! — odrzekł.
— Wypadek wyglądał bardzo poważnie. Ośmieliliśmy się poradzić pana doktora. Pan inżynier chciał mieć całkowitą pewność, że niczego nie zaniedbano, że podjęliśmy wszystkie niezbędne kroki od razu po spostrzeżeniu, co się wydarzyło. — Zamilkł na chwilę, oderwał wzrok od podłogi, wzruszył nieznacznie ramionami i przyznał: — Być może trochę się pospieszyliśmy.

Jego złowroźnie wyważone wypowiedzi zirytowały komisarza.

— No, pewnie pan inżynier Vaara wciąż tu jest, co? A tak poza tym to co to za jeden? I kim pan jest w tym domu? — Palmu wygarnął w niego serią pytań, lecz na sztywnej, pobrużdżonej twarzy lokaja nie drgnął ani jeden mięsień.

— Pan inżynier Vaara oczekuje panów w sali — odrzekł z nienaganną uprzejmością. — To wicedyrektor w spółce Rykämö. Ja zaś jestem... hm... lokajem pana Rygsecka. Nazywam się Veijonen, mój pan jednak ma w zwyczaju zwracać się do mnie Batler.

— A to dlaczego? — rzucił podejrzliwie Palmu.

— Nie wiem, panie komisarzu — przyznał otwarcie lokaj.

— To po angielsku — odpowiedziałem usłużnie. — Słowo „butler” oznacza służącego, lub właśnie lokaja.

— O nic cię nie pytałem — warknął na mnie Palmu, po czym zwrócił się ponownie do Batlera. — Ale co pan wicedyrektor Vaara robi tutaj o tak

wczesnej porze? Zdaje się, że dzień pracy już dawno się zaczął?

Batler się zawahał, tym razem jednak uniósł głowę i wbił weń nieruchome spojrzenie.

— Mam wrażenie, panie komisarzu — odrzekł, nie mrugnawszy nawet powieką — że na to pytanie pan Vaara najlepiej chyba odpowie sam.

Odstąpił nieco na bok, pokazując drogę. Palmu zamurowało i wszedł do środka bez słowa. Znaleźliśmy się w przestronnym holu, którego posadzkę pokrywał drogi dywan. Komisarz zatrzymał się i rozejrzał, zapominając rychło o słownej utarczce z lokajem.

A było na co patrzeć. Szerokie schody pod ścianą holu wiodły na piętro; po drugiej stronie dostrzegłem olbrzymi kominek. W narożniku stał sporej wielkości indyjski wazon z mosiądzu, a na podeście schodów — dziewczęca postać z czarnego granitu. Palmu postąpił krok ku widniejącym w głębi, zamkniętym drzwiom sali, lecz Batler taktownie chrząknął.

— Panie komisarzu — odezwał się. — Do moich obowiązków należy uprzedzić pana, że poza panem inżynierem Vaarą w sali czekają na panów również starsza pani Rygseck, ciotka mojego pana, a także... hm... pani Rygseckowa, czyli... hm... jego była żona.

— Była żona?

Tym razem to Palmu uniósł brwi.

Zbity z pantałyku Batler nerwowo zatarł dłonie.

— To rzeczywiście może niezbyt precyzyjne sformułowanie — przyznał. — Rozwód nie został jeszcze prawnie orzeczony, ale państwo nie mieszkają ze sobą już niemal od roku.

— Zgadza się — potwierdził Palmu. — Słyszałem, że kobieta nie wytrzymała tempa, choć intencje miała jak najlepsze.

Położył już rękę na klamce drzwi, jednak niezmordowany Batler chrząknął raz jeszcze. Komisarz odwrócił się do niego z pytającą miną i lokaj wyjaśnił przepaszającym tonem:

— Zapewne najlepiej będzie poinformować pana jeszcze, że poza wymienionymi już osobami w sali znajdują się też kuzyn i kuzynka mojego pana, to jest panicz i panna Rykämö.

Palmu spojrzał przeciągle na Batlera. Lecz lokaj Brunona Rygsecka nie miał już zamiaru powiększać listy obecności, tylko gestem zakomunikował, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

— Arcyciekawe — odezwał się Palmu. — Nader osobliwie wyznaczone czas i miejsce na rodzinne zebranie!

Batler usłużnie otworzył drzwi i weszliśmy do sali.

¹ Ekskluzywna parkowa dzielnica w południowej części Helsinek, nad samym morzem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² ryggsäck (szw.) — plecak

2.



**Rodzinne zebranie w domu Brunona Rygsecka. • Palmu
jawi się jagnięciem, choć to tylko skóra. • Bruno Rygseck
umiera na amen i Aimo Rykämö sięga po kieliszek. •
Mam wrażenie, że jestem w Pompejach. • Batler
relacjonuje i komisarz wyciąga zaskakujący wniosek. •
Kokki i ja przestajemy pojmować.**

Sala była jasna i przestronna. Duże okna wychodziły na ogród za domem. Także i tam posiadłość od reszty świata oddzielał mur. Widniała w nim jednak niewielka, okolona pnączami furтка, do której wiodła żwirowa ścieżka. Wspominam o niej już teraz, gdyż w dalszym toku opowieści odegra pewną rolę.

Po wejściu do środka uwagę skupiłem oczywiście na wyglądzie samej sali i na zgromadzonych w niej osobach.

Pomieszczenie urządzono luksusowo i z arystokratyczną beztroską. Za meble służyły kuszące, wygodne fotele, sofa, kilka niskich stolików, fajczarnie, zastawione butelkami barki na kółkach i wspaniały radioodbiornik, a na ścianach wisiało sporo barwnych obrazów. Jednakże w świetle dnia badawcze oko dostrzegłoby plamy na drogim dywanie i okrągłe ślady po kieliszkach na lśniących meblach, które świadczyły o niechłujności i złym prowadzeniu. Na blacie z drewna różanego zapomniany kiedyś papieros wypalił czarną smugę, a jedno krzesło

rozchodziło się na boki, jak gdyby ktoś nim grzmotnął kilkakrotnie o ziemię.

Mimo że w sali przebywało kilka osób, w pomieszczeniu panowała przygniatająca cisza. Wszystkie spojrzenia, które skupiły się na komisarzu, były niechętne, powściągliwe, nieomal butne. Miałem wrażenie, że wyczuwam w tym milczeniu wyjątkowe napięcie i jakąś unoszącą się w powietrzu groźbę.

Wyliczę teraz osoby po kolei, tak jak je spostrzegałem.

Boczną ścianą sali zawładnął wielki obraz, na którym trzy kobiety zrywały jabłka z drzewa. Z niewiadomego powodu ich nagość nie była absolutnie niczym zakryta. Na brzeżku najmniej wygodnego krzesła siedziała starsza kobieta, demonstracyjnie obrócona plecami do obrazu. I tak jak on na swój sposób zawładnął całą ścianą sali, tak kobieta na swój sposób zawładnęła tą częścią pomieszczenia.

Była w płaszczu i czarnym znoszonym kapeluszu. W kościstej dłoni ścisnęła parasol, krótki i masywny niczym maczuga, na nogach zaś miała półbuty na grubej gumowej podeszwie. Pożółkły ze starości koronkowy kołnierzyk bluzki sięgał niczym pancerz aż po kościstą, wysoko uniesioną brodę. Wystające spod kapelusza włosy były już siwe, lecz z całkiem jeszcze gładkiej twarzy wyzierały zdumiewająco duże i wylupiate oczy o beznamiętnie błękitnej barwie. Krytyczne spojrzenie kobiety spoczęło najpierw na komisarzu, a po chwili, przelotnie, na mnie.

— Nareszcie! — wyrzekła i stuknęła gniewnie czubkiem parasola w podłogę.

Była to pani Amalia Rygseck, jedyna córka nestora Rygsecka i posiadaczka czwartej części akcji koncernu Rykämö. Bogactwo jednak nie dało jej szczęścia, co było widać już na pierwszy rzut oka.

Po tej samej stronie sali, lecz w bezpiecznej odległości od pani Amalii, siedziała na wygodnym krześle i w wygodnej pozie jeszcze dość młoda kobieta. Odziane w jedwabne pończochy nogi założyła jedna na drugą. Była uderzająco piękna i bardzo dobrze umalowana, a jej ramiona okrywała bez wątpienia kosztowna peleryna z futra srebrnych lisów. Mimo pełnych kształtów zachowała szczupłą sylwetkę, a zaskakującą twardość spojrzenia ciemnoszarych oczu, które wbiła w komisarza, łagodziła jedynie wyczekująca, chłodna ciekawość.

Była to pani Alli Rygseck — żona Brunona, z którym żyła w separacji. Patrząc jej w oczy, instynktownie poczułem, że i ja wolałbym z nią nie mieszkać pod jednym dachem.

Kiedy tylko weszliśmy, zerwała się na równe nogi dziewczyna — Airi Rykämö — i wlepiła w nas przestraszony, nieszczęśliwy wzrok. Zaraz też z fotela podniósł się jej brat i ujął delikatnie siostrę za nadgarstek, jak gdyby chciał ją przytrzymać. Od razu było widać, że są rodzeństwem — chociaż ona przywodziła na myśl, że tak powiem, wiosenną niedzielę, on zaś, przynajmniej tamtego dnia, był doskonałym ucieleśnieniem poniedziałkowego przedpołudnia. Papieros między palcami mu drżał, chłopak twarz miał bladą i plamistą, a cała jego postać świadczyła dobitnie o nieczystym sumieniu, o kacu bynajmniej nie tylko fizycznym.

Piękne to były dzieci. Kończyny długie i szczupłe, cera gładka i zadbana, brązowe oczy pod pięknie wysklepionymi brwiami. Dziewczyna miała na sobie skromny strój biuralistki, z białym kołnierzykiem i białymi mankietami rękawów, i zaraz poczułem, że bardzo chętnie podjąłbym pracę w tym samym biurze. Dostrzegłem w niej czujność i inteligencję, choć w tamtej chwili wydawała się strasznie nieszczęśliwa. Chłopak natomiast bynajmniej nie wyglądał na geniusza, a już na pewno nie w stanie, w jakim się wówczas znajdował. Był to ten typ młodzieńca,

którym dobry przyjaciel miałby ochotę porządnie potrząsnąć, choć z drugiej strony po prostu nie umiałby się na niego gniewać z racji jego wrodzonej dobroduszości. Dobry chłopak, który zszedł na złą drogę — w tamten jesienny poranek ta ocena wręcz sama się nasuwała.

Przy oknie, plecami do sali, stał tęgi, barczysty mężczyzna i patrzył na jesienną szarugę. Teraz odwrócił się powoli i ignorując zupełnie pozostałe osoby, spojrzał spokojnie na komisarza. Był prawie tak wysoki jak ja — a mierzę całkiem sporo. Twarz miał ogorzałą i szczerą, a cała jego postać emanowała poczuciem bezpieczeństwa i budziła instynktowne zaufanie. Może najtrafniej opiszę go słowami, że był to typ człowieka czynu, w którym kochają się młode dziewczęta. Ale... im dłużej się na niego patrzyło, tym większe stawało się owo „ale”... Postawa jego nazbyt była sztywna, nazbyt napuszczona jak na tak młodego człowieka. Odniosłem wrażenie, że zapłacił zbyt wysoką cenę za możliwość przecierania własnej drogi w życiu, że za wcześnie objął odpowiedzialne stanowisko, nim jeszcze zdążył okrzepnąć i nabrać do siebie pełnego zaufania, i dlatego węszył wokół siebie krytykę i drwinę. Brakowało mu pojednawczego poczucia humoru, co na pewno utrudniało mu życie, i jeżeli jego kariera potoczy się tak dalej, stanie się z czasem człowiekiem nieznosnym.

Był to inżynier Vaara, wicedyrektor w koncernie Rykämö i zaufany człowiek prezesa Rygsecka. Oddalił się właśnie od okna i stanął pośrodku sali, rangą i prezencją przejmując pełnię władzy i panowanie nad sytuacją.

— Z komendy policji? — odezwał się nieco protekcyjnie, jak gdyby chciał dopomóc komisarzowi w zrobieniu pierwszego kroku.

Dobrze wiedziałem, że Palmu zdążył już sfotografować w myśli całe pomieszczenie oraz wszystkie znajdujące się w nim osoby i wyrobić sobie o nich własną opinię. Stał jednak w drzwiach sali z udawaną

nieporadnością i patrzył niepewnie po zgromadzonych, a cała jego komisarzowska powierzchowność ucieleśniała prośbę o wybaczenie najścia i zażenowanie z racji wstąpienia w tak wysokie progi.

— Tak... no więc... tego... — wyjąkał — jestem komisarz Palmu... to moi pomocnicy... Znaleźliśmy się tu z powodu przykrego wypadku, który się zdarzył... to czysta formalność, ma się rozumieć, ale przyjdzie nam pewnie sporządzić jakiś protokół.

Inżynier Vaara spojrzał na niego z niejakim politowaniem i robiąc długi wydech, rozluźnił napięte ciało. Pani Amalia Rygseck uśmiechnęła się pod nosem i usiadła nieco wygodniej. Panna Rykämö westchnęła i zrobiła taką minę, jak gdyby kamień spadł jej z serca. Brat puścił jej nadgarstek i opadł swobodnie z powrotem na fotel. Otóż to! Wszyscy spodziewali się czegoś innego. Wszyscy się *bali*.

Inżynier Vaara odrzekł protekcyjnie, że oczekują na wieści ze szpitala. Zawiadomienie policji okazało się może trochę przedwczesne, niemniej chcieli mieć pewność i tak dalej.

— Przepraszam — przerwał mu speszony Palmu i zdołał naprawdę się zaczerwienić. — Szanowny pan wybaczy, że mu przerywam, ale mamy w policji taki zwyczaj, że najpierw zapisujemy personalia wszystkich obecnych oraz czas przybycia na miejsce zdarzenia. Niewykluczone też, że zadam państwu kilka pytań, a moi pomocnicy będą zapisywać odpowiedzi.

Wyciągnąłem notes, ukloniłem się pani Amalii Rygseck i ośmieliłem usiąść za stołem, by mieć lepsze warunki do pisania. Palmu rozpoczął bardzo taktownie, dokładając wszelkich starań, by uniknąć skojarzeń z przesłuchaniem.

Imię i nazwisko, wiek, stanowisko lub wykonywany zawód, adres i tak dalej. Nie będę przepisywał bezpośrednio poczynionych wówczas notatek, wyliczę jedynie fakty, które wówczas ustaliliśmy:

Pani Amalia Rygseck zjawiła się w domu mniej więcej o godzinie dziewiątej trzydzieści pięć, razem z żoną Brunona Rygsecka. Zaraz w progu rozkazała Batlerowi natychmiast obudzić gospodarza. Lokaj próbował oponować, lecz w końcu poszedł na górę i wrócił z wiadomością, że jego pan obiecał zejść zaraz po kąpieli, gdy tylko się ubierze. Kobiety czekały na niego w sali.

Pani Alli Rygseck potwierdziła, że tak właśnie było.

Inżynier Erik Vaara przybył dokładnie o godzinie dziewiątej czterdzieści pięć. „Wiedziałem, że Bruno wstaje codziennie kwadrans przed dziesiątą”, powiedział. Batler oznajmił mu, że jego pan udał się już do łazienki i lada chwila pojawi się w sali. Inżynier dołączył więc do czekających tam kobiet.

Student Aimo Rykämö zjawił się mniej więcej o dziesiątej. „Było może trochę po, skąd mam to wiedzieć, do jasnej ciasnej?” Lokaj zaproponował mu coś do picia i kolejny gość przeszedł do sali.

Biuralistka Airi Rykämö przysłała dopiero około dziesiątej dwadzieścia. Wtedy nieszczęście już spostrzeżono i dziewczyna długo musiała stać pod drzwiami, zanim ją wpuszczono. Otworzył jej nareszcie inżynier Vaara, który z łazienki przeszedł do holu, by skorzystać ze znajdującego się tam telefonu, i w dwóch słowach wyjaśnił jej, co zaszło.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

3.



Dostępne w wersji pełnej

4.



Dostępne w wersji pełnej

5.



Dostępne w wersji pełnej

6.



Dostępne w wersji pełnej

7.



Dostępne w wersji pełnej

8.



Dostępne w wersji pełnej

9.



Dostępne w wersji pełnej

10.



Dostępne w wersji pełnej

11.



Dostępne w wersji pełnej

12.



Dostępne w wersji pełnej

13.



Dostępne w wersji pełnej

14.



Dostępne w wersji pełnej

15.



Dostępne w wersji pełnej